

Erhard Busek

Dzieje, historie, strzępy opowieści. Historia jako główny składnik kultury europejskiej

Erhard Busek

Polityk, prawnik. Prezydent Institut für den Donauraum und Mitteleuropa w Wiedniu i European Forum Alpbach; Specjalny Koordynator Paktu Stabilności dla Europy Południowo-Wschodniej (SECI); w latach 1978–1987 wiceburmistrz Wiednia. W latach 1991–1995 wicekanclerz Austrii; były minister nauki i badań naukowych oraz minister edukacji; w latach 2000–2001 specjalny przedstawiciel rządu austriackiego ds. poszerzenia Unii Europejskiej. Przewodniczący Rady Programowej Fundacji Międzynarodowego Centrum Kultury w Krakowie, EU-Russia Centre, ICEUR. Profesor wizytujący Practice of Public Studies Duke University, doktor *honoris causa* m.in. AGH w Krakowie. Autor publikacji z dziedziny polityki, w szczególności polityki środkowoeuropejskiej.

Gdy byłem dzieckiem, mieliśmy zwyczaj w niedziele chodzić na rodzinne spacery. Wciąż słyszę opowieść mojego ojca o tym, że gdy był w moim wieku, tramwajem jechał z rodzicami do Pressburga, wybierali się tam na kawę albo kubek gorącej czekolady, po czym wracali do Wiednia. Trudno było mi to zrozumieć, bo Pressburg nic mi nie mówił – jedyne miejsce, które pasowałoby do opowieści, a z pewnym trudem udało mi się je znaleźć w moim szkolnym atlasie, nazywało się Bratysława. Zamętu nie rozjaśniła informacja dziadka, że miejsce to nazywano też Pozsony. Jedyne, co wiedziałem, to że potrzebna była wiza, aby tam pojechać, i że trzeba było stać po nią godzinami w kolejce. Na dodatek moja mama zauważyła jakoś zgryźliwie, iż powszechnie wiadomo, że w Bratysławie przecież nie można pójść na kawę. Dziś wszystko się zmieniło, na szczęście: kawy jest w bród, nie potrzeba wiz, a żelazna kurtyna to już przeszłość.

Takie opowieści uzmysławiają, jak ważna jest historia we wzajemnym zrozumieniu różnych narodów. Jeżeli nie znamy historii innych – zarówno tego, co w niej dobre, jak i tego, co smutne czy trudne – nie zdołamy ich zrozumieć. Historie jak ta zdają się sugerować też, że powinniśmy włożyć więcej wysiłku w przekazywanie dziejów, anegdot, przytaczanie strzępów opowieści, w przeciwnym bowiem razie nie da się kształtować odpowiedniego wyobrażenia o innych. Najważniejsze to obserwować, jak się nawzajem postrzegamy, i kształtować wzajemną percepcję, by nie traktować innych jako „obcych”. Tego typu trudności cechują obecny stan integracji europejskiej. Rozładować je można przez wzajemne zbliżenie, które też musi się opierać na analizie historycznych aspektów relacji. Wiele w tej kwestii już osiągnięto. Dość wspomnieć o zażęgnanych tarcjach niemiecko-francuskich czy rozwiązanych problemach w południowym Tyrolu. Nasza część świata, gdzie historia odgrywa szczególnie ważną rolę, stanowi żyzny grunt dla powstawania napięć. Jak na razie jednak pryzmat historii służy politykom głównie do tego, by podtrzymywać dwustronne konflikty.

Życie prywatne podsunęło mi myśl, która wywarła na mnie spore wrażenie. Mój ojciec, jak również wszyscy moi męscy przodkowie byli protestantami. Moja rodzina pochodzi z polskiego Cieszyna, gdzie najwyraźniej panowała tolerancja religijna. Jerzy Buzek, były premier Polski, a obecnie przewodniczący Parlamentu Europejskiego, również wywodzi się z Cieszyna, co doprowadziło nas do wniosku, że musimy być dalekimi krewnymi. Z przykładów takich jak ten płynie dla nas nauka, że społeczności mieszane pod względem wyznania potrafiły

w przeszłości zdobyć się na tolerancję, która pozwalała różnym grupom żyć ze sobą w pokoju. Tym boleśniesz było dla nas wykorzystanie faktu, że żyjący obok siebie w granicach Bośni-Hercegowiny Serbowie wyznają prawosławie, Chorwaci katolicyzm, a Bośniacy islam, dla uzasadnienia konfliktu zbrojnego. W religii i jej historii szukano źródeł nieuchronności wojny, a także ich zapalnego potencjału. Politycy przy braku sprzeciwu autorytetów religijnych wykorzystali ów potencjał do własnych celów. Musimy baczyć, by nie ziszczyły się obawy Samuela Huntingtona wyrażone w *Zderzeniu cywilizacji*, że religie mogą stać się głównym źródłem konfliktu. Nie będzie szans na pokój, jeżeli zabraknie wiedzy, skąd przychodzimy, oraz jeżeli nie uświadomimy sobie, dokąd chcemy zmierzać i w jaki sposób mamy nadać sens naszej historii.

Polityka, historia i mitologia

W wieku XIX doszło do znaczącego wzrostu znaczenia historii jako czynnika politycznego i źródła argumentów wykorzystywanych w sporach. Nie trzeba dodawać, że ludzie władzy wcześniej także prowokowali tarcia na tle historycznym (np. Habsburgowie rościli sobie pretensje do pochodzenia od Juliusza Cezara), lecz ograniczały się one w dużej mierze do genealogii dynastycznych jako podwalin imperiów. Aż do czasów legendarnego Świętego Przymierza, które było jednym z efektów kongresu wiedeńskiego z 1815 roku, czynniki transcendentne dominowały nad schematami rozumowania klas rządzących. „Boskie prawo króla” z jego odwołaniem do historii, odgrywało rolę decydującą. Było to szczególnie wyraziste w sporze o inwestyturę – walkę cesarza z papieżem o zwierzchnictwo władzy duchowej i świeckiej – a fakt, że ów spór wzniecił wojny, jest w takim samym stopniu bezdyskusyjny, jak to, że popchnął on Zachód w wir krucjat, sprawiając, iż pojęcie świętej wojny zyskało taką pozycję jak dżihad w świecie muzułmańskim. Odwołanie do dżihadu wydaje się żywe po dziś dzień w meandrach myśli muzułmańskiej. W tamtych czasach historiografia służyła bardziej mitologizacji i gloryfikacji dokonań władz politycznych, niż był zgodnym z faktami opisem zdarzeń.

W początkach romantyzmu wiek XIX był też świadkiem narodzin gatunku historiografii, który lansował pojęcie „narodu” tak bardzo, że dziejopisarstwo stawało się uzasadnieniem wyższości własnego narodu, co w końcu musiało doprowadzić do wytworzenia się światopoglądu nazistowskiego oraz historycznej katastrofy Holocaustu. Ceną,

jaką za to zapłaciła Europa, były dwie wojny światowe, ciągle zmiany granic i nieustanne przepisywanie historii. Z apokaliptycznych konsekwencji tak mylnego podejścia pierwsze zdały sobie sprawę ruchy pacyfistyczne powstające tuż przed i po pierwszej wojnie światowej, co przyspieszyło zjednoczenie Europy po roku 1945. Decydującym i godnym naśladowania aktem było puszczenie w niepamięć przez Francję i Niemcy trzystuletniego wzajemnego konfliktu. To uwidocznilo, jak wielkie znaczenie może mieć historia, kiedy trzeba podać powody, dla których krajom lepiej służyła wspólnota celów niż skakanie sobie do oczu. Jednak droga do wspólnej historii jest długa i kręta. Pierwszy wspólny niemiecko-francuski podręcznik historii ukazał się dopiero w roku 2006 – sześćdziesiąt jeden lat po roku 1945.

Rzecz jasna, proces integracji europejskiej narażony jest na spory historyczne. Charles de Gaulle, by przywołać jeden tylko przykład, nalegał na przeprowadzenie we Francji referendum w sprawie przystąpienie Wielkiej Brytanii do EWG. Przy okazji referendum przywoływano wykaz wojen, w których do walki ze sobą stawały Francja i Wielka Brytania, począwszy od Wojny Stuletniej (1337–1453). Jednocześnie wszystko wskazuje na to, że integracja międzynarodowa może łagodzić tradycyjne konflikty, a nawet je rozwiązywać. Wejście Hiszpanii i Portugalii do Unii Europejskiej było zdarzeniem wiekopomnym w kontekście rozładowywania napięć istniejących między tymi dwoma krajami, podobnie stało się w przypadku przystąpienia do Unii Austrii i Włoch – ich wzajemne relacje uległy przemianie. Raz po raz historia dostarcza najbardziej nieprawdopodobnych wręcz argumentów w debatach. Na przykład słyszałem niejednokrotnie, że Norwegia opowiedziała się przeciw członkostwu w Unii Europejskiej między innymi dlatego, że nowa Europa tworzy „unię”, a wśród Norwegów słowo to budzi bolesne wspomnienia unii norwesko-szwedzkiej, z której z determinacją wystąpili na początku XX wieku. Niemcy zaś, a raczej Republika Federalna Niemiec, jest bardzo chwalona za odegranie roli jednego z założycieli Unii Europejskiej pomimo wielu konfliktów, w które jest uwikłana, np. z Belgią, Holandią i Luksemburgiem, nie licząc Francji. Niemcy pokonali antagonizmy, przyczyniając się w ten sposób do tworzenia świadomego i obiektywnego spojrzenia na historię.

Po roku 1989 w umysłach ludzi odnowiło się wiele konfliktów historycznych, również tych o charakterze zupełnie mitologicznym. Komunizm starał się legitymizować przejęcie władzy, między innymi upowszechniając opinię, że rozpoczął nowy etap w historii, tak epokowy,

że powinno się zapomnieć o wszystkim, co działo się wcześniej. Dość kłopotliwą konsekwencją tego, na przykład we wschodnich landach niemieckich (dawna NRD), jest fakt, że istnieją pokolenia, które nie wiedzą nic o antysemityzmie. Tu również Unia Europejska przychodzi w sukurs, choć kilka kwestii nadal czeka na rozwiązanie. Dzięki temu jednak praca nad lepszym wspólnym rozumieniem historii traktowana jest priorytetowo. Dobrym przykładem są relacje polsko-niemieckie, które wykraczają poza wąską problematykę wypędzeń – należą do nich dzieje rozbiorów Polski, a Niemcy były im współwinne. Kiedy kanclerz Gerhard Schröder zaangażował się w sprawę gazociągu North Stream, scena serdecznego powitania kanclerza z Władimirem Putinem wzbudziła w Polsce skojarzenia z dawnymi czasami. Lekceważenie Polski i krajów bałtyckich, które chciały podłączyć się do gazociągu, nie było mądre. Można zrozumieć, że stosunki Rosji z krajami bałtyckimi charakteryzuje pewne napięcie, wynikające z niedawnej historii, a nie widać szans na łatwe rozładowanie go, a to z uwagi na rosyjskie mniejszości w Estonii, zwłaszcza zaś na Łotwie.

Inni nowi członkowie Unii (akces w roku 2004 i 2007) to również kraje o zagmatwanej historii. Na Węgrzech traktat w Trianon z lat dwudziestych od początku wywoływał kontrowersje, powstał bowiem problem węgierskich mniejszości w krajach ościennych, wciąż jest on daleki od rozwiązania, zwłaszcza jeśli chodzi o Słowację, gdzie ostatnio stał się szczególnie aktualny. Trudno przekonać Węgrów, że nikt poza nimi nie wie, co oznacza „Trianon”. Pozytywnym przykładem, który przychodzi mi do głowy, jest pokojowy podział Czech i Słowacji, gdzie dziejotwórcze różnice historyczne istniejące do roku 1918 w oczywisty sposób odeszły do lamusa. Najprawdopodobniej jedną z przyczyn był pomyślny rozwój ekonomiczny Słowacji.

Historia – materiał wybuchowy

Diametralnie odmienna jest sytuacja Bałkanów, gdzie wiele dwustronnych konfliktów podsycają argumenty czerpane z historii. Na ogół zbyt łatwo pomijamy fakt, że tamtejsi ludzie ufali sobie nawzajem za czasów Jugosławii (a wcześniej Monarchii Naddunajskiej) i że ostatnim, co zaprzętało ich uwagę, było zagadnienie przebiegu dzielących ich granic. To – jak wiadomo – nie powstrzymało Słowenów od zablokowania starań Chorwatów w negocjacjach akcesyjnych z UE i można oczekiwać, że w miarę postępowania procesu poszerzania Unii ta sama strategia sprzeciwu zostanie wykorzystana przez

każdego z najnowszych członków Unii przeciw ich bałkańskim sąsiadom. Przypomina się powiedzenie Winstona Churchilla: „Bałkany mają więcej historii, niż mogą skunsumować”. To samo można chyba powiedzieć o całej Europie.

Niezwykle ważne są mitologie i rola, jaką odgrywają one w historii. Minister spraw zagranicznych dawnej Jugosławii oświadczył kiedyś podczas swego wystąpienia, że „Kosowo to serbska Jerozolima”. Rzecz jasna, polityka ustępuje w konfrontacji z potężną mitologią. Mitologia ujawnia się równie silnie w relacjach rosyjsko-ukraińskich. Wielu Rosjan wzdraga się przed wymówieniem słowa „Ukraina”. Dla nich właściwą nazwą jest Ruś, której chrzest ponad tysiąc lat temu dał początek ich krajowi. Podobna jest postawa Serbów wobec Bośni-Hercegowiny – odmawiają uznania muzułmańskiej tożsamości Bośniaków, twierdząc, że Bośniacy pierwotnie byli wyznawcami chrześcijańskiej sekty bogomilców, a ich przejście na islam nie uczyniło z nich prawdziwych muzułmanów. Obecny impas między Grecją a Macedonią w sprawie nazwy „Macedonia” także ma quasi-religijne konotacje. Przedmiotem sporu jest Aleksander Wielki. Matt Niemitz, amerykański wysłannik starający się mediować w negocjacjach, stracił cierpliwość, gdy rozmowy po raz kolejny utknęły w martwym punkcie po tym, jak padło zdanie, że Aleksander był tylko „wielkim rzeźnikiem”. Był to ostateczny koniec rozmów, co szczególnie nie dziwi.

W innych częściach Europy historia odgrywa nie mniej istotną rolę. Weźmy na przykład Hiszpanię i dzieje Basków oraz Katalończyków, którzy wspominają dawne imperia (królestwo Nawarry i Majorcki). Sprawy komplikują się jeszcze bardziej na Kaukazie, gdzie narody o tradycjach chrześcijańskich niosą brzemień burzliwej historii. Ostateczne potwierdzenie przez Turcję ludobójstwa Ormian to zdarzenie wyjątkowe. Na Kaukazie mamy do czynienia z wieloma bardzo zróżnicowanymi problemami historycznymi, których nie rozwiązało dziejopisarstwo, nie wspominając o podręcznikach historii, a w każdym razie nie nastąpiło wzajemne zrozumienie.

Unia Europejska

Na początku procesu integracji europejskiej sześciu założycieli Unii uznało, że oświata nie będzie podlegała kontroli instytucji zjednoczonej Europy. Każdy naród miał zachować autonomię w sprawach szkół i szkolnictwa wyższego. Nie trzeba było szukać daleko, by znaleźć źródła i uzasadnienie tej decyzji: dość wspomnieć różnice między

poszczególnymi niemieckimi landami. Dziś ustawy o szkolnictwie wyższym obowiązujące w poszczególnych krajach stwarzają nie lada problemy dla naukowców, którzy chcieliby wędrować z instytucji do instytucji. Świat się zmienił, Europa także. Globalizacja, konieczność mobilności i dążenie do postrzegania Europy jako całości sprawia, że powstanie europejskiego organu edukacyjnego jako uzupełnienie narodowych ministerstw oświaty zdaje się racjonalne. Nie sposób tu omówić znaczenia takiej instytucji dla rozwoju idei europejskiej, jednak nie ulega wątpliwości, że w procesie tym nadzwyczajną wagę ma podkreślanie europejskich cech wspólnych. Nauczanie historii może mieć istotny wpływ na tworzenie się europejskiej świadomości. Trzeba jednak pamiętać, że opracowanie programu nauczania historii, pod którym mogłaby podpisać się cała Europa, jest zadaniem gigantycznym i trudno mieć nadzieję, że uda się je zrealizować w najbliższej przyszłości. Niemniej pocieszające są pierwsze kroki poczynione w tym kierunku, to znaczy formułowanie zróżnicowanych punktów widzenia. Z różnorodności spojrzeń na historię można się wiele nauczyć o sąsiadach, dostrzec niuanse. Europejskie podręczniki historii przeznaczone do użytku szkolnego to sprawa odległej przyszłości. Obecnie mogłyby przynieść efekt przeciwny do zamierzonego. Ważniejsze, że aktualnie temat ten zwraca uwagę badaczy, jest przedmiotem zainteresowania fundacji, które organizując konkursy, przyznają nagrody i zachęcają do pracy oddolnej. Wzorcową w tym względzie jest działalność Fundacji Körbera (www.koerber-stiftung.de).

Na Bałkanach, gdzie w wyniku krwawych wojen po rozpadzie Jugosławii kwestia historyczna stała się paląca, przeprowadzono Akcję „Wspólna Historia” (Joint History Project, www.cdsee.org) zorganizowaną przez Ośrodek Demokracji i Pojednania w Europie Południowo-Wschodniej (CDRSEE). Punktem wyjścia dla prac komisji złożonej z uznanych historyków było zestawienie historycznych punktów widzenia różnych narodów i krajów mające na celu podkreślenie różnic i wyciąganie z nich nauki. Władze oświatowe w poszczególnych krajach nie mogły zaakceptować do użytku szkolnego wniosków z prac tej komisji, co było niemal nie do uniknięcia, ale intensywne zajęcia warsztatowe uwrażliwiły nauczycieli na problemy leżące u ich podstaw. Podręczniki szkolne w tym regionie są jak gabinety figur woskowych, obrazujące sprzeczności, odwołujące się do wszelkiego rodzaju anachronicznych snów o potęgze: Wielkiej Serbii, Wielkiej Rumunii, Wielkiej Chorwacji, Wielkiej Bułgarii, Wielkiej Albanii, itp.

Niebagatelną rolę odgrywa tu mitologia. Nie powinno nas to dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, że bitwa na Kosowym Polu 28 czerwca 1389 roku pozostaje jedną z tych dat, których przedstawianie na lekcjach historii radykalnie różni się od prawdy historycznej. Temat jest zbyt szeroki, by można go tu szczegółowo omówić. Problem ten stanowi dyżurny argument nie tylko w konflikcie wokół niepodległości Kosowa. Dzieje różnych narodów na Bałkanach są wszystkie mniej lub bardziej przesycone konstruktami mitologicznymi. Przyczyną takiego stanu rzeczy była konfrontacja z imperium otomańskim, a także samo to imperium, problem pogłębiło zaś instrumentalne wykorzystanie tego zagadnienia przez polityków.

Byłoby jednak ogromną niesprawiedliwością, gdybyśmy w tych rozważaniach ograniczyli się do problemu Bałkanów. Trzeba zauważyć, że dzisiejsze poszukiwania „tożsamości” ciągle odwołują się do nacjonalistycznych sentymentów, co prowadzi do napięć nawet wewnątrz Unii Europejskiej. Nie trzeba dodawać, że te same grupy są w swych przekonaniach i celach także antyeuropejskie. Tu kryje się prawdziwe wyzwanie dla edukacyjnej działalności Unii Europejskiej. Należy prowadzić programy wspierania kształcenia nauczycieli i badań, uwzględniające różnorodność. Różnorodność jest cenna i nie wolno jej wykorzystywać jako pretekstu do kreślenia nowych linii demarkacyjnych. Zachowanie różnorodności wymaga przede wszystkim uświadomienia jej sobie.

Historia jako ważny składnik kultury europejskiej

Nasz sposób myślenia o historii naznaczony jest dychotomią, a nawet schizofrenią. Z jednej strony szcycimy się różnorodnością kulturową, z drugiej zaś doświadczamy odrzucenia „innego”, tego wszystkiego, co określamy jako obce. Tymczasem Europa posiada całe bogactwo krajobrazów kulturowych, będących podstawą pluralizmu narodów, języków i środków wyrazu. Każda dolina jest inna – i podobną różnorodność obserwujemy w modzie, literaturze muzyce itp. Dotyczy to również epok historycznych. Bieg historii w Europie był zróżnicowany od czasów antyku. Ponowoczesność, do której teraz dotarliśmy, to w istocie rachunek strat. Koncepcja straty jest często przywoływana w narzekaniach na brak autentycznej nowoczesności czy utratę wartości. Czy brakuje nam energii niezbędnej, by tchnąć w naszą rzeczywistość nowego ducha? Współcześnie ulegamy cytatom, również tym z historii, a miejsce kultury zajmuje swoista

globalna cywilizacja, której wyróżnikiem jest nieposkromiona unifikacja. Programy telewizyjne dostępne na całym świecie to miszmasz instant, produkt dla „globalnej wioski”, którego główną zaletą jest łatwość odbioru.

Obraz naszego świata i naszego kontynentu pozbawiony różnorodności jest niekompletny, lecz nie w tym sedno. Chodzi raczej o ludzką otwartość, będącą, jak się wydaje, w stanie krytycznym. Co jej dolega? Istnieją niezaprzeczalne dowody na pewien izolacjonizm, istnieje tendencja do zamykania się i nawet tak wielkie państwa jak USA nie są odporne na tę pokusę. „Obcy” („obca”, „obce”) odbierany jest bardziej jako zagrożenie niż jako potencjał. Weźmy proste sprawy życiowe, jak kuchnie europejskie, fascynacje kulturą i wyznaniem. Razi nas to, co wydaje się dziwne lub inne, tymczasem w antyku na oznaczenie przybysza z obcych stron albo gościa używano jednego słowa. Obcy uchodzili za obiekt zainteresowania, podczas gdy jednocześnie chroniły ich niepodważalne prawa gościnności.

Zmiany w Europie po roku 1989 zaskoczyły nas. Internacjonalizm komunistyczny rozpadł się, marzenie o budowie rajy na ziemi i proklamacja powszechnej równości zakończyły się brutalnym przebudzeniem. Odkrywamy świat Słowian, umysłowy krajobraz kształtowany przez prawosławie z jego podwójnym ośrodkiem – w Bizancjum i w Moskwie. Ponownie na styku styku naród–państwo, który zdominował koniec XIX i cały XX wiek, prowadząc do dwóch wojen światowych, powstają konflikty polityczne i wybuchają wojny. Nie mamy pojęcia, co zrobić z szansami zjednoczenia naszego kontynentu, które nagle się pojawiły. Jednak jaką formę ma przyjąć *finalité d'Europe*? Sama geografia nie wystarczy, by odpowiedzieć na to pytanie.

Dotycząca nas wszystkich debata skupia się na przyszłości Unii Europejskiej. Unia jest w tej chwili w fazie przejściowej, która w dużej mierze wynika stąd, że debata ta zrodziła się z impasu między Wschodem a Zachodem. Zaczęła się od prób połączenia energii wolnych demokracji, a obecnie kształtuje ją konieczność reakcji na wyzwania globalizacji i wspólne wysiłki, by zapobiec eurosklerozie w nauce i badaniach, tak by kontynent w skali globalnej pozostał atrakcyjny. Stawką jest dziś to, czy Europa posiada potencjał, by stać się graczem globalnym. Skrajne zróżnicowanie regionów europejskich – geograficzne i kulturowe – jest wyrazem kreatywności Europy. Jednak różnorodność postrzegana jest często jako przeszkoda, nie zaś jako szansa. Odnoszę się do trzech podstawowych antynomii rodzących napięcia.

1. Rynek i świątynia

Rynek jawi się jako symbol życia, wspólnoty i historii; dorobku i konkurencji; barwnej zmiany i zróżnicowanych odcieni egoizmu, łącznie z bardziej skrajnymi formami populizmu. Codzienna polityka nierzadko zbyt łatwo ucieka się podżegania, okrzyków czasem aż nazbyt przypominających „Hosanna!” i „Ukrzyżuj go!”. Jednak rynek jest też domem demokracji, która zrodziła się na agorze w Atenach. Świątynia jest natomiast miejscem świętym, przechowującym wartości, ideały i najlepsze, do czego możemy aspirować. Opiekunowie świątyni to elita. Co możemy znaleźć w świątyni dziś? Poddana procesom sekularyzacji religia ulega w dzisiejszych czasach przebudowie podporządkowanej normom współistnienia, prawom człowieka i standardom demokratycznym. Niekiedy można odnieść wrażenie, że „wszystko wolno” – to hasło, propagowane przez Paula Feyerabenda, stało się aktualne, jednak nie uczyni naszego świata bardziej humanitarnym lub bardziej zaawansowanym kulturowo. Teolog i paleontolog Pierre Teilhard de Chardin interpretował historię jako proces „uczłowieczenia”, zwierciadło mozolnych wysiłków ludzkości, by stać się ludzką. Zgodnie z tą filozofią, nie wystarczy urodzić się, by być człowiekiem. Musimy – jako osoby i społeczności – ciągle dążyć do doskonałości, do ideału, który może przynależeć do innego porządku.

2. Polifonia i kontrapunkt

Europa to zapis nutowy – wielowątkowy, biegnący w kontrapunkcie. Muzyka to język międzynarodowy. Nie zna granic i można ją zrozumieć bez tłumaczenia. Obrazuje dwa epizody biblijne: wieżę Babel i Pięćdziesiątnicę. Wieża Babel miała być pomnikiem zwycięstwa ludzkości nad Bogiem, dziełem ludzkim, które miało przebić niebo. Arogancy budowniczości nie mogli nie polec w swych wysiłkach: stracili wspólny język, nastąpiło pomieszanie języków. Natomiast podczas Pięćdziesiątnicy Duch Święty dał apostołom dar rozumienia wszystkiego, co ludzie mówili „we własnych językach”. I to jest rola kultury, która tchnie ducha.

3. Pamięć i historia

Kultura opiera się na pamięci, na tradycji. W ostatnich latach polityka oświatowa któregoś z krajów określała misję kultury jako przybliżanie ludziom technik poszukiwania informacji. Jednak osoba nieświadoma kontekstu nie może wykorzystać w pełni encyklopedii,

księgozbiorów bibliotecznych czy zasobów Internetu. Słynne jest twierdzenie Francisa Fukuyamy o końcu historii, które niefortunnie wygłosił w czasach, gdy doświadczamy odrodzenia historii: bez historii nie da się zrozumieć żadnej części Europy. Znaleźliśmy się w świecie, w którym otacza nas gęszcz synchronicznych zdarzeń. Dzięki sieciom informacyjnym możemy wiedzieć o wszystkim, co dzieje się na planecie. Jednocześnie musimy uznać, że następuje odnowienie – nie neonacjonalizmu, ale wstrętnego, starego nacjonalizmu, wydobytego z komunistycznej zamrażarki, prężącego muskuly w pętli czasu Europy Wschodniej. Nie musi to prowadzić do „zderzenia cywilizacji”, które zapowiadał Huntington. Rozmaitość kultur sama w sobie nie prowadzi do ich wzajemnego zrozumienia, zwłaszcza jeśli mamy świadomość, kim sami jesteśmy. Wymaga to znajomości naszej własnej historii oraz mitów i narracji – przypowieści, które kształtują nasze życie.

W tym zadaniu „na pewno nie powstrzyma nas niedostatek materiału, gdyż region, w którym żyjemy, to prawdziwe laboratorium antropologiczne. Tutaj kultura Zachodu spotyka się z kulturą Wschodu, a materialne i niematerialne zdobycze świata uprzemysłowionego współistnieją z cywilizacjami przedindustrialnymi. Niekończące się tarcia między sowieckim socjalizmem a atlantyckim liberalizmem wywołały w naszych głowach szum jak w rozstrojonym odbiorniku radiowym. Na próżno staramy się odnaleźć właściwą stację, szum nieustannie powraca.

W roku 1952 hiszpański dyplomata i filozof Salvador de Madariaga, podsumowując gorzkie doświadczenia drugiej wojny światowej, mówił o trudnym położeniu Europy, z której przebija pewność, że potrzeba nam nie tylko nowego ładu politycznego, ale także wspólnej europejskiej świadomości, mogącej ukształtować się jedynie na gruncie kultury wspieranej przez świadomość historyczną:

„Nade wszystko musimy kochać Europę; naszą Europę, rozbrzmiewającą ryczącym śmiechem Rabelais’go, jaśniejącą uśmiechem Erazma, skrzącą się dowcipem Woltera; na której intelektualnym niebie świecą ogniste oczy Dantego, jasne oczy Szekspira, pogodne oczy Goethego i umęczone oczy Dostojewskiego; Europę, do której zawsze uśmiecha się Gioconda, gdzie Mojżesz i Dawid żyją życiem wiecznym w marmurach Michała Anioła, a geniusz Bacha unosi się spontanicznie, by dać się uchwycić w figury geometryczne jego umysłu; gdzie Hamlet rozmyśla nad tajemnicą swej bezczynności, a Faust szuka w działaniu – ukojenia

Dzieje, historie, strzępy opowieści...

dla pustki własnych myśli; gdzie Don Juan szuka w kobietach napotkanych kobiety nigdy nieznalesionej, a Don Kichot z lancą w dłoni galopuje, by zmusić rzeczywistość do wzniesienia się ponad siebie; Europę, gdzie Newton i Leibniz mierzą to, co nieskończenie małe, a katedry – jak napisał kiedyś Musset – modlą się na kolanach w swych kamiennych szatach; gdzie rzeki, srebrne nitki łączą miasta, klejnoty wykonane w kryształach przestrzeni dźwiękiem czasu. Ta Europa musi się narodzić. I narodzi się, kiedy Hiszpanie będą mówić »nasze Chartres«, Anglicy »nasz Kraków«, Włosi »nasza Kopenhaga«, a Niemcy »nasze Bruges« i będą cofać się przerażeni na samą myśl o położeniu na nich zabójczej ręki. Wtedy Europa będzie żyła, bo wtedy Duch, który przewodzi dziejom, wymówi sprawcze słowa: **Fiat Europa!**”

Z angielskiego przełożyła Monika Myszkiwicz